

Elżbieta Dąbrówka-Madej

część I z II

Sygnatura notacji: **N0106**

Data urodzenia: **12.12.1925 r.**

Data nagrania: **17.05.2022 r.**

Miejsce nagrania: **dom świadka, Piastów, Polska**

Prowadząca/y rozmowę: **Julia Krajewska**

Czas nagrania: **część I: 61 min, część II: 36 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Elżbieta Dąbrówka-Madej: 6 grudnia 1925 roku. Mieszkaliśmy wtedy w Pruszkowie, w domu czynszowym, a mój tata w tym czasie budował dom. To był taki duży dom, piętrowy, cztery razy po dwa pokoje i na górze jeszcze facjata. Te mieszkania miały być na wynajem i ponieważ był już starszy troszkę od mojej mamy, to myślał o przyszłości bardziej. Tam chodziłam do szkoły, a potem moja mama wyprowadziła się do Warszawy. Nie rozeszli się, nie, tylko poszła do pracy, jak ja już byłam starsza, i mieszkanie sobie kupiła na Tamce, żeby bliżej było do pracy. To się okazało, że to się bardzo udało. Potem wybuchła wojna i mama zadzwoniła do nas, do mnie i do taty, do Pruszkowa. Tata dom już... A, tego nie powiedziałam, tata dom sprzedał już, bo liczył się z tym, że będzie musiał jednak zrezygnować z Pruszkowa. Tam był ogródek mały i ja się w tym ogródku wychowywałam. Pamiętam do dziś szczegóły pogody, co robiłam, jak tam było. A poza tym taka ciekawostka, że graniczyłam ze szkołą moją, a parkany kiedyś były nie z siatki, tylko z deseczek, drewniane, więc jedną deseczkę się jakoś dało wdłubać i bardzo często wychodziłam sobie ze szkoły, jak miałam w pierwszej klasie dosyć, to też pamiętam, to sobie przez tę dziurkę przechodziłam do mojego ogródka. I potem wracałam normalnie. To taka ciekawostka, którą zapamiętałam. Więc... Aha, mówiłam, że mama zadzwoniła, to był, nie wiem, czy 1 września czy 3 września, już nie pamiętam, ale początek, żeby natychmiast... A mieszkaliśmy jeszcze, sprzedany był dom, ale mieszkaliśmy w pokoju z kuchnią na strychu. Nawet byłam teraz, kiedyś w Pruszkowie, to patrzyłam na ten dom, te same balkony, okna trochę inne, odnowiony bardzo ładnie, tylko taki mały ten ogródek był już, takie charakterystyczne. I myśmy tak zrobili, że przenieśliśmy się na Tamkę, z tatą też. Mama pracowała w takiej fabryce korków na rogu ulicy Tamki i ulicy Dobrej, była inkasentką, tak się kiedyś nazywała ta praca. I wtedy już okazało się, że ona była zaangażowana politycznie bardzo. Ale nikt o tym nie wiedział. Wracała później, miała spotkania, zebrania. Bardzo tajemnicza była. No, potem się dowiedzieliśmy, ale to już późniejsza sprawa. No więc

mieszkaliśmy tam. No to był bardzo trudny okres. Ja już ukończyłam szkołę podstawową. A jeszcze powiem, że mój zawód to już się okazał... jak mieszkaliśmy w Pruszkowie i byłam w takim wieku, że na piecu, takie piece kaflowe były, usadzałam sobie laleczki, ustawiałam krzesła i ja byłam nauczycielką. Ale kiedyś posadziłam małego takiego naguska, to się nazywało, był nieubrany. Bo to on niegrzeczny był i mu zwróciłam uwagę, ja dochodzę, a on cały jest czarny, spalił się, bo posadzony był na drzwiach. No to strasznie mi było przykro i do dzisiaj pamiętam to. I ponieważ potem uczyłam bardzo wiele lat pierwsze klasy i mieliśmy kontakt z Uniwersytetem Warszawskim, i przychodzili na lekcje, no więc wszyscy wybierali pierwszą klasę, bo to najciekawsze, jak uczy się maluchy i dzieci małe. Tak to pamiętałam właśnie, zawsze, żeby nie zrobić krzywdy dziecku. Tak, to było takie wtrącenie. No i przenieśliśmy się do Warszawy. I zaczęłam naukę, nie było liceów już, bo okupacja, ale dowiedział się tata, że na rogu Nowogrodzkiej i... poprzecznej [do niej], nie pamiętam dokładnie, jest liceum pod nazwą, że to szkoła dla przyszłych sprzedawczyń w sklepach. To było normalne liceum handlowe. I ja tamto liceum skończyłam. Tak jakoś to kombinowali, z tym że książki to musiały być przygotowane tak, żeby... nie nosiło się do domu, żeby schować w odpowiednie miejsce. I teraz oglądałam też ten dom, stoi jeszcze, jakaś inna instytucja jest. Bardzo przyjemnie pamiętam tę precę, tę naukę. Profesorowie poważni byli, bardzo było to udane. Ale matury nie zdążyłam zdać, bo były przed wakacjami i po wakacjach potem, bo wybuchła wojna i już się zanosilo, i były dwa terminy, i ja w drugim miałam zdawać. No i niestety. Tak że bez zdania matury. Już mieszkaliśmy w Warszawie i zorganizowano specjalnie taką maturę dla części, dla grupy, i zdałam, i miałam ukończoną. Jak wybuchła... Aha. Ja się wybieram... ponieważ dom, w którym mieszkaliśmy, to był duży, mieliśmy duży bardzo pokój jeden i kuchnia niewielka, i okno z kuchni wychodziło na zakład siostr szarytek. Mama trochę przerobiła to, potem zachorował tata i też na taką chorobę jak właśnie Halinki ten zięć teraz, marskość wątroby. No ale wtedy nie było już ratunku niestety. Ja wracałam jeszcze kiedyś ze szkoły, pamiętam, i zauważyłam tylko, że trumna stała. Ja strasznie tatę kochałam, bo kiedy pytano mnie, że mama będzie w Warszawie, a tata w Pruszkowie jeszcze, to z kim chcę być, no to z tatą. Bardzo kochałam tatę. No on też. I mądry człowiek był. I tata zmarł, to już jest... Nie pamiętam, musiałabym sprawdzić. Takich szczegółów nie pamiętam, ale bardzo już dawno. Mama pracowała, ja już później miałam praktykę, maturę zdałam. Pani mówiła, że mieszkała z mamą w Warszawie, skończyła liceum... Aha, a mama już... Było tak, mieliśmy takich znajomych jeszcze z Pruszkowa, lokatorów dawnych, którzy mieszkali na Ochocie. I ja bardzo często musiałam, mama mi nie mówiła dlaczego: „A pojedź sobie do państwa Nawrockich, bo to już możesz zanoć”. A ona się umówiła już tak z nimi, to byli bardzo uczciwi, solidni ludzie. A okazało się potem, że wtedy mama miała kontakty, była łącznikiem i z Podlasiem, tam, skąd pochodziła... I ci ludzie przyjeżdżali tutaj na spotkania, i chodziło o nocleg. Także ja widziałam co prawda często, że coś tam niesprzątnięte było czy na podłodze, czy coś, że tam kilka osób nocowało, to już wtedy to było. Ale ja nic o tym nie wiedziałam. A w ogóle to się wybierałam do klasztoru, do tych szarytek, bo tam chodziło się po zakupy też, i tak sobie umyślałam, może... No i moja mama tłumaczyła, mnie nic nie pomagało. I zapoznała mnie z pracy, z takim młodym, pracował tam jako kierowca, miał szkołę skończoną zawodową, ale nie technikum. I mama tam trochę patrzyła, i ja się tak po prostu przyzwyczaiłam do niego, spotykaliśmy się.

Julia Krajewska: A w którym roku państwo się poznali? Pamięta pani?

Elżbieta Dąbrowka-Madej: No to okupacja, początek okupacji. Początek okupacji. Dobrze. Aż do Powstania jeszcze. Spotykaliśmy się normalnie. To zresztą był mój mąż. Tak. Potem wybuchło Powstanie, prawda. To już taty nie

było, mamy nie było, ja zostałam sama w domu, bo była gdzieś w terenie. Ona bardzo dużo chodziła, tam mam dokumenty, to później pokażę. I ja potem też się zapisałam tam, to była jakaś pierwsza organizacja, też nie powiem nazwy, bo zapominam, ja sobie zapisuję gdzieś na kartkach, potem nie mogę znaleźć. Szczepan, mój mąż, też tam należał, a potem już był zupełnie gdzie indziej. Też mi nic nie opowiadał, ja nie miałam do roboty wiele, ale potem okazuje się, że można było... taki sklep był na dole, bo ja chodziłam po zupę do pracy do mamy z banieczką, i zawsze, jak wracałam, to taka sprzedawczyni była samotna, to ja musiałam jej z tej banieczki dać, żeby odlała sobie talerz zupy, dopiero resztę dla nas. A kiedyś pomyślałam sobie: „To samym tłuszczykiem, najzdrowszą zupę, najwartościowszą oddaję, a ja mam gorszą?” i przyszedłam do domu, i sobie odlałam, dopiero poszłam. No naturalnie to się wydało. No to miałam wielką, wielką nieprzyjemność z tego powodu. No więc potem ona gdzieś się zawieruszyła, już w Powstanie jej nie było i w sklepie, to już był pusty sklep, zrobiony taki punkt był na Tamce, przy ulicy Cichej, narożny: „poszukiwania rodzin”. I tam przychodzili, przynosili wiadomości, czy że szukają, czy żeby się ktoś zgłosił, i potem dzieci małe roznosiły to, bo jeszcze nie było tak groźnie, ale później to się już zaczęło psuć. A ja z kolei, jeszcze nie powiedziałam, że po pogrzebie taty, to ja miesiąc leżałam w łóżku, miałam zapalenie woreczka. No tak wtedy z lekarzami było też trudno. Ale wygrzebałam się jakoś z tego. No i potem... Co ja powinnam powiedzieć? O Powstaniu, tak?

Julia Krajewska: Tak. Jak pani pamięta Powstanie, może jakieś konkretne historie, może jakieś wydarzenia?

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Tak. Więc właśnie. Jak wiedział mój mąż, jeszcze nie mąż, mówił mnie tylko o tym, że o godzinie piątej zacznie się Powstanie. A mojej mamy nie było. I mama dopiero po kilku dniach wróciła. Ale została, bo przywiozła... Ona jeździła na Powiśle, raz nawet była zatrzymana i gdzieś tylko miała takie zaświadczenie, że nie wolno [jej] zatrzymywać, bo firma udziela swoich wyrobów wojsku czy coś tam takiego. To była lipa, wcale nieprawda, ale to było. Ale zatrzymali ją w Sokołowie, była wtedy... Ale to nie wtedy, jak to nie przyszła, innym razem, już w czasie Powstania... Przed samym Powstaniem to było, tak. I mamy nie było. Ale przedtem przywiozła taką nogę, pamiętam, upieczoną, bo to miała rodzinę rolników, i jakaś mąka, jakieś coś tam. I kielbasy były chyba też, tak. I ja zeszłam na dół, bo sygnał był, żeby się chować, nie wiem, już nie pamiętam, i patrzę, że tam jest... Jeszcze nieogłoszone było Powstanie, bardzo dużo młodych ludzi, chłopców. No i tak sobie myślę, co oni tutaj robią. I tak któryś powiedział, że by się coś zjadło, czy coś. I ja poszłam na górę... Aha, placki mama dwa upiekła, takie drożdżowe. Wzięłam jeden placek, ukroiłam taki kawał i zaniósłam to na dół. I zaniósłam na dół. Jaka ja byłam szczęśliwa, jak oni się ucieszyli, jak oni się najedli. No ale potem przyszłam na górę, a mamy nie ma jeszcze. No ale jak wróciła, to ja pokazałam, powiedziałam. Ona się tak na mnie spojrzała, spojrzała się i pocałowała mnie w głowę. A bałam się, że będzie się gniewała, bo ja placek oddałam cały i tej szynki. To taki drobiazg był. Szczepan woził... No tak, Szczepan to jest mój mąż, bo już mi się myli. Woził rannych, bo przy ulicy Dobrej, przy Kościele Świętej Teresy, był punkt, gdzie można było dostarczyć rannych, i tam była jakaś pomoc. Ale nad Wisłą, też mam napisane, to jeszcze przed tym, jak byłam... stał taki statek i stamtąd w Tamkę strzały były. Tylko podobno, ja tego nie wiedziałam na razie, co pewien okres dokładnie, tak że tyle minut, to już strzelą, a potem można było przelecieć jakoś. Ale ja tego nie wiedziałam nawet. I on przejeżdżał koło mnie, a już wtedy taki był głód bardzo, bo myśmy wtedy byli zaskoczeni, i stanął na sekundę, jechał w dół, a myśmy wszyscy przed bramą stali, bo ja patrzyłam, jak on jedzie, czy on tam już pojechał czy wraca, bo bałam się też, żeby nie było tego strzału. I stanął na sekundę, i taką mnie paczuszkę małą dał,

a tam były chyba tak... no oni mieli... może połowa śledzia, gdzieś tam zdobył i podzielił się. No i ja patrzę, pojechał. Ale słyszę huk i za prędko ten huk. I to jak Solec jest przed ulicą Dobrą, w tym momencie strzelili i trafili samochód. Ten samochód stał. Ja chciałam tam biec, ale ludzie mnie nie puścili, no bo już byłam zaangażowana bardzo uczuciowo, i ja tylko tak stałam tam, a trzymali mnie, że mowy nie ma, żebym jaź biegła, bo ja chciałam zobaczyć. I za jakiś czas jedzie ktoś inny z samochodem, bo jeździli w górę przez Tamkę, Nowy Świat i dalej i przywozili właśnie rannych tam. I jechał jego znajomy, też mój. I tylko rękę wysunął i krzyknął: „Szczepan w porządku”. No to już mnie to wystarczyło. A on leżał z tyłu tam. No i potem się dowiedziałam, że schodki z Tamki... Nie wiem, czy pani wie, jak wygląda Tamka? Tak? Schodki idą w górę i tam... Jak się ta uczelnia nazywała?

Julia Krajewska: Muzyczna.

Elżbieta Dąbrówka-Madej: I koncerty tam były też, i studia. Tak. I tam były takie place z trawą. I ja się dowiedziałam, ale już nie pamiętam, jak ja się dowiedziałam, czy mnie ktoś dał znać, nie wiem, że tam jest Szczepan. Bo już go nie wieźli w dół, tylko tam został. Tam też była pomoc. I ja tam... Tam okienko nasze wychodziło z mieszkania, to było drugie piętro, co prawda, ale nie widać było. I ja tam do niego poszłam. I uprosiłam mamę... A on mieszkał naprzeciwko, na tej samej ulicy, po drugiej stronie. Z matką i z bratem, rodziną brata. I mama się zgodziła, i stamtąd... Lekarz tam, nie wiem, był już. W każdym razie żeśmy go przyprowadzili po tych schodkach i był z nami razem. Ale to było w ogóle... całe to Powstanie, żeśmy tak przeżyli. I potem zajmują elektrownię, i jednocześnie trzeba uchodzić, bo zabiorą nas. I myśmy w nocy wybrali się do Śródmieścia. Najpierw wzięłam, pamiętam, taką jesionkę miałam, to moja mama z taty mojego jesionki przerobiła, ona była trochę ciężka, to był taki męski, gruby materiał, ale to ktoś tam uszył, zrobił, taniej było. A pamiętam, za szkołę, to mama płaciła miesięcznie 40 zł, bo to była prywatna szkoła moja, to liceum. Ale dobrze, bo jednak była matura. Ja tak beztładnie to mówię właśnie. Ja chciałabym wszystko ważne, a może za dokładnie, prawda?

Julia Krajewska: Dobrze. Bardzo dobrze, że tak dokładnie mówi.

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Wyszliśmy, no tam jeszcze kilka osób, szliśmy ulicą... zaraz, taka poprzeczna, przed Nowym Światem. Konopnickiej. – Nie. Nie pamiętam, nie wiem. – W porządku. I tam pamiętam, że słychać było z powalonych domów jakieś głosy. To ja to do dziś pamiętam, jak tam przechodziłam i nikt nie mógł pomóc, bo nie wiedziało się, co, jak i gdzie. A domy już były powalone tam. I doszliśmy tak do... przed [ulicę] Piękną, taka sama poprzeczna ulica, nie pamiętam też w tej chwili nazwy. Może sobie przypomnę, ale nieważne. I zatrzymaliśmy się tam, ale mamy... Aha, najpierw to żeśmy trafili tam, gdzie... Nie, dobrze, już pamiętam. I trzeba było iść po wodę na [ulicę] Mokotowską, tam była taka studnia, ale tam trzeba było wejść do środka do studni i nalewać wodę w wiadro, i potem ktoś wyciągał i to wiadro brał, i następny z kolejki. Jak dziesięć takich wiader się nalało, to wtedy można było wziąć bez kolejki. To ja to pamiętam, wodę. Ale mógł nadlecieć samolot i mogło się to zawalić, bo to był taki otwór zrobiony tylko, przygotowany do tego, bo inaczej to byłoby bez wody. Bo przecież wody nie było. Tak że o myciu się to też nie było mowy, tylko do picia. No i żeśmy przeszli gdzieś... Aha, po tę wodę. I my wracamy, a ten dom jest zawalony. I te nasze rzeczy, co mieliśmy, i ta moja jesionka po tacie. Bo ja powiedziałam, że ja tylko po tacie chcę tę jesionkę mieć. Wszystko przepadło. No więc wyszliśmy na ulicę Piękną. Piękna 11, to już pamiętam, bo to dłużej trwało, tam

byliśmy do końca, już samego wyzwolenia. Też nie było co jeść, też było trudno bardzo. ale trafiliśmy na taki pokój na parterze, gdzie starsze panie tam musiały być. I na drzwiach był umieszczony taki worek wielki z suchymi obierkami po chlebie. No więc to żeśmy sobie wydzielali tak właśnie. A moja mama to siedziała w piwnicy i w ogóle nie wychodziła nigdzie. Nie wiem co się stało, bo przecież bardzo odważna była. Ale siedziała. A myśmy byli w tym pokoju właśnie i kuchnia była. I w pewnym momencie jesteśmy w kuchni... Aha, a nadleciały samoloty jakieś i rzuciły fasolę. To były, nie wiem, amerykańskie czy coś. I żeśmy kilkanaście, pamiętam... taki Jasio duży, kilkanaście znaleźli. Ja pamiętam, że to była zupa fasolowa. Gotowaliśmy, ale w pewnym momencie... Już leciał samolot i pamiętam, że Szczepan mnie wtedy pociągnął i za taką futrynę mocną, żeby stanąć. No nic się wtedy nie stało, ale odłamki tam były w kuchni. I tak żeśmy przeczekali. Potem, mówi, no tak, wybierają się ludzie po jęczmień do Haberbuscha. No to jest daleko z ulicy Pięknej przecież. Ale mówi, no co zrobić, coś będzie. A ja jeszcze przed tym... Jeszcze tam ta mąka była, ale nie miałam przecież czegoś, żeby to rośło. To ja to tak rozrobiłam, patrzę, w piecyku się pali ogień, na tym podwórku takim... w środku było podwórko i naokoło te domy były. To był dom bardzo bogatych ludzi, wiem. Ja miałam takie kapcie, były modne, na sznurku. Jak ja tam chodziłam też, bo to trzeba było piwnicami po tę wodę chodzić z wiadrem, to ludzie, wylewało im się, jak przewody były, to się wylewała ta woda. I ja miałam mokre te buty ciągle, i mnie te nogi popuchły i ja już później nie mogłam zdejmować. Ale później, jak już zawiesili Powstanie, to bardzo dużo ludzi przyszło do mnie z butami. Parę par przynieśli. Ale przed tym nie. Nikt nie widział. Ja upieklam... Ja pytałam się, mówi, a tak, bo ja jeszcze dopiekam tam jakieś pieczywo. Bo oni mieli zapasy. To przecież adwokaci, jacyś mecenasi, lekarze, taki dom elegancki był. A my w piwnicy byliśmy. „Jak ja wyjmę, to pani powiem”. No i wyjął, powiedział mi i ja tam to czymś, nie pamiętam już, w czym, ale wiem, że wstawiłam, no mówię, może trochę chociaż się... Bo nie było co jeść. Ale potem straszną rzecz robiłam. Bo tam już byli pochowani i też na tym podwórku krzyże były. I ja jeden krzyż wyciągnęłam, to ja mam do dziś, taki wyrzuty. Później, jak sobie zdawałam sprawę z tego, że... I ten krzyż spaliłam też. Zjadło się to jakoś, ale bardzo z wielkim trudem. Tak że to było przeżycie ogromne. A potem Szczepan poszedł tam, bo były... tak, że można było tak przejść ulicami, takie tamy porobione, żeby z okien ktoś nie strzelił. No ale różnie było. I miał pas harcerski. I poszedł po tę mąkę, a ja tu drżałam, czy on wróci w ogóle. No to dla mnie było przeżycie ogromne. Wrócił. Przyniósł tak jak 5 kilo tej mąki i ja mówię: „Była jeszcze?” – „Nie, już nie było. Tylko harcerz zamienił się ze mną. ten pas mu dałam i on mi dał tę mąkę”. No i tacy byliśmy szczęśliwi. Tylko już ja nie pamiętam, czy ja potem z tej mąki pieklam, czy jeszcze była, nie wiem, już tego to nie wiem. Nie wiem, może to było i z tej. W każdym razie wiem, że miałam to przeżycie, że ten krzyż wyciągnęłam. Później już, później, później, to ja tam poszłam zobaczyć. Ale tam już było wszystko wyrównane, ładnie zrobione. bardzo ładny dom został, przecież jest jeszcze. No to tyle z tej sprawy. I przyniósł to właśnie. I potem ogłoszone, że koniec Powstania, więc myśmy zdecydowali... Moja mama nie chciała, w ogóle już była trochę przeciwna, żebym ja się nie angażowała na nic, bo miała jeszcze jakieś Bóg wie jakie plany na mnie. A tak to uważała, że, co, on studiów nie ma, zawodu jakiego, no kierowcą był, a że uczciwy, że solidny, że pracowity, to się nie liczyło. I że ja się do niego przyzwyczaiłam, też się nie liczyło. I myśmy mamę zostawili i we dwoje wyszliśmy. I przeszliśmy całą tę drogę, to wtedy wojsko też polskie, nasze powstańcze, poddawało się. I już tak na Wolskiej, pamiętam, taki kościół był [św. Wojciecha], a potem tam ludzi zatrzymywali. I my tak idziemy we dwoje, ale... Aha, i jeszcze, nie wiem, ktoś mi dał takie racuszki, takie dwa, i parę kostek cukru na osobę, jak wychodziłam z tej piwnicy, jak żeśmy poszli. A tutaj moja mama na tym placu, gdzie jesteśmy, miała taki mały domek, tutaj siedzieli lokatorzy, tylko taki plac był kupiony. Jak tata ten dom sprzedał, to tak trochę pieniędzy ulokował. Mama była rozsądna i wiedziała, jak to wszystko trzeba zrobić, zabezpieczyć.

Julia Krajewska: Tutaj, w Piastowie, tak?

Elżbieta Dąbrowka-Madej: Słucham?

Julia Krajewska: Tutaj w Piastowie

Elżbieta Dąbrowka-Madej: Tu, w Piastowie, tu. Tak. Ale ten domek to był taki, że tylko rozwalić. Jeden pokój, jakaś kuchenka, z drugiej strony jakiś pokoik, to taki rupieć stał tutaj. Tu w ogóle nie było tych domów, tylko było pusto, i krowy się pały. Aha, wyszli i tam jeszcze z tymi paczuszkami, no i ja pamiętam, że zrobiłam takie dwie paczuszki, bo nie wiadomo było, czy będziemy razem, czy nas rozdzieli, i on miał jedną, ja drugą, tak w ręku. I dochodzimy do tego, jak ten kościół, i tam potem już potem już kierowali do tego budynku, stoi jakiś wojskowy, ale jakiś wyższy wojskowy, nie taki... No i tak podniósł rękę, stanęliśmy i trzymamy te wiązeczki takie. Mówimy, no już teraz koniec, rozdzieli nas i... A on się pyta... Ja troszkę niemiecki znałam, bo się uczyłam w szkole, to wtedy mogłam się porozumieć jakoś. No coś, tego, „Wohin?“, dokąd my jedziemy. Ja mówię: „Jedziemy do Piastowa“, a ja po polsku mówiłam, ale on rozumiał. „Do Piastowa“. „Tu trzeba wejść“. To ja tylko powiedziałam: „Proszę tam...“, czy coś. I on się spojrzał i mówi tak: „No możecie pociągami jechać, jak chcecie, tam pociąg jest“. A też po niemiecku mówił. No i ja mu też po niemiecku odpowiedziałam, to mówi tak: „Młodzi jesteście, idźcie pieszo“. I myśmy poszli. I nas po prostu puścił. Nie wiem, czy zobaczył te paczuszki, czy zobaczył dwoje młodych ludzi, a czy ja nie płakałam, bo ja bardzo często... do płaczu to pierwsza. I wyszliśmy. I szliśmy, pomidory na polach były i jakiś tam dzieciak był, tak: „Ale niech pani nie zrywa, bo mi mama powiedziała, że nie mogę ani jednego nikomu dać“. Ale to chodziło o to, że myśmy byli głodni, wygłodzeni. To nie to, że żałowali, nie. I myśmy naturalnie... Nie było mowy. I żeśmy tak dotarli tu, do tego placu. I teraz co, gdzie teraz? I tam uprosiłam tam kogoś, żeby przyjęli, żeby Szczepan tam mógł spać. Ale on mówi: „Wiesz co, moja mama“... Aha, bo jego matka była wywieziona, ale potem nie zostawili, bo to stary człowiek już bardzo, i chora była zresztą, miała krwawą dyzenterię bodajże. I mówi, tutaj ja mam kogoś, może mama może tam może być, po drugiej stronie torów. I tam poszliśmy. I pamiętam... o, to pamiętam, że poczęstowali nas zupą pomidorową, ale tak mało tej zupy było w tamtym talerzu, to ja to pamiętam do dzisiaj, tak mało nam dała tego, przecież to parę łyżek było tylko. I powiedziała, gdzie matka jest, pod... o Jezus, sto z czymś kilometrów. No nie wiem w tej chwili, jak się to miejsce nazywa. Ja zapominam nawet, gdzie teraz wojna się toczy, to mam napisaną karteczkę tam, żebym spojrzała. Coś już z pamięcią się robi. Ale te rzeczy to pamiętam dokładnie. I myśmy się wybrali, oboje, mama mnie błagała, prosiła: „Nigdzie nie chodź, zostaw go, ja ci to, ja ci tamto, wszystko mogę, bo przecież mam“. A ja, nie, nic nie było mowy. I myśmy raniutko, o szóstej, wyszli... Aha, i słyszeliśmy, że tu, w Piastowie, będą... A, bo tutaj, w tej chałupce małej, to już byli z Powstania też młodzi ludzie, to dowiedzieli się, że mają robić kontrolę i zabierać tych ludzi, bo tu się polokowali. To myśmy... już o szóstej czy wcześniej, nie wiem, nie mam pojęcia, ale tak było już jasno. I tutaj siedzieli Niemcy, też puste place tu były, i zaczął Szczepan bodajże z nimi rozmawiać, jeden tak mówił dużo po polsku i mówił, że: „Ja się znalazłem w wojsku, ale patrzę na to, co się dzieje...“. Taki był inny trochę. I powiedział nam, że mamy nie iść na stację tu, bo będzie stacja obstawiona. I myśmy poszli stąd do Ursusa. I przyjechał pociąg taki towarowy, czy towarowy cały, to ja już też nie pamiętam, ale pierwszy wagon to był towarowy i tam już było bardzo dużo ludzi, trzeba było się wdrapać, bo stanął, do tego pociągu, i pamiętam tylko, że jakiś mężczyzna z kozą był też

na tym... jechał do Żyrardowa, czy do Skierniewic, już nie wiem, też nie pamiętam tego dokładnie. I myśmy na ten pociąg wsiedli, i on ruszył. I myśmy w ten sposób wyjechali, i dojechaliśmy. Zdaje się, że to Skierniewice były, a nam chodziło o Skierniewice. Aha, Rawa Mazowiecka, już teraz pamiętam. A potrzebowaliśmy do Rawy Mazowieckiej. A od Rawy to już tam było kilka kilometrów, tylko ta wieś, Wołcza się nazywała, też mam tu wiersze na ten temat. I stamtąd żeśmy się przeszli, chyba szesnaście kilometrów, tam, gdzie ta matka jest. I rzeczywiście zastaliśmy matkę, męża. Chora bardzo, tam ją przyjęli, jakoś ją uratowali, no uratowali prawie że, a myśmy dostali takie mieszkanie tam blisko ulicy, w takim ładnym domku, gdzie były dwie dziewczyny młode, starszy ojciec i jeszcze brat był, ale ten brat to, zdaje się spał, gdzieś indziej mieszkał. Ładny domek, świeżo postawiony i taki pokój dobudowany jeszcze był z cegły, strasznie zimny, bo to taki nie... Wodę się czuło w mieszkaniu. I w tym pokoju żeśmy zostali. I tam to był spokój już. Później chodziłam do Rawy na targ, coś tam się kupowało, czasem i gotowało, i kuchnię pamiętam, taką z płytkami, węglową, i te płytki były takie, że z kilku części już, bo to widocznie nie można było dostać. I mnie to zawsze wpadało, ja nie mogłam gotować, jak chciałam ugotować coś. To pamiętam też, jak ta córka mówi: „Pani, ja pomogę” i ręką go mi odsunęła, poukładała, poukładała i poradziła. Pomagali. No to potem mąż tam też się rozchorował, miał zapalenie płuc, no to pozwolili z tego mieszkania, żeby on spał w tym pokoju, w tej kuchni właściwie. No i tak jakoś było. Jak żeśmy się dowiedzieli... już tutaj nie będę o szczegółach mówiła, jak żeśmy się dowiedzieli, że Warszawa jest wolna, to na drugi dzień dosłownie... Aha, nie. I tego nie powiedziałam. Przecież byliśmy bez ślubu. I poszliśmy do kościoła w Kurzeszynie, to było dwa kilometry od Wołuczy, O, już pamiętam. No i ja miałam... Bo miałam ze sobą takie, to jeszcze mam do dzisiaj, tata mój zbierał srebrne... dziesięciozłotówki chyba to były, i ja taką rolkę tych dziesięciozłotówek wzięłam, żeby temu księdzu dać, żeby... jest ślub. No i był ślub, wróciliśmy do domu, ugotowali obiad, zupę jakąś tam no i to było wesele, i po tym wszystkim ja przyjechałam do mamy, ale po tym. Mama nie mogła mi tego darować. Ale ona mi nie pozwalała po prostu. Tak była despotyczna i... No i powiedziałam. A, „nie, nie, nie”. A potem, i do końca, to zakochana była w nim, z taką życzliwością i tak dobrze było. No i tak, i żeśmy wybrali się, ja tu przyjechałam pociągami, tak, jeszcze różnie to było z przesiadkami, moja mama co mogła, to mi tam dała, jeszcze jakiś garnek używany, ale własny, i tak żeśmy się po troszku budowali w tym wszystkim. No, a potem poszliśmy do Warszawy. Moje mieszkanie... Męża po drugiej stronie ulicy było, ocalało, matka tam też wróciła już potem i była z drugim synem, on miał rodzinę już, dzieci i żonę, a myśmy chcieli zajrzeć do tego... Dom spalony od frontu, wchodzimy do środka, też ta część spalona, ale patrzymy, że schody jeszcze trzymają się częściowo. I na drugie piętro weszliśmy, na te schody, i ja pamiętam, że święty Antoni tam stoi taki obłuczony, bo jak wychodziliśmy z Tamki, to mama moja w kosz taki włożyła, do piwnicy i włożyła świętego Antoniego, taki ciemny, na brzegu z dzieciątkiem. I włożyła, żeby pilnował. No to jak wróciliśmy, to kosz stał pusty, a obok ten święty Antoni leżał z obłuczonym spodem. Bo może by też nie było. No i weszliśmy tam, pochodziłam, pochodziliśmy razem i wróciliśmy z powrotem. Na drugi dzień schody się zarwały. Taki był rozum człowieka. No to były takie szczegółki, które na pewno nie wszystkie będą ważne, prawda. No potem, teraz już skrócę się bardzo, chciałam się dostać na studia. Aha, do tej organizacji należałam też, tam, gdzie mama była, co jednego dnia o pewnej godzinie ona musiała być kategorycznie na spotkaniach tam. No mam tutaj i podziękowania jej, różne miała. No i bardzo dużo było jednak... jedzenie dla tych pracowników, bo ten szef był bardzo uczciwym człowiekiem, takim solidnym. Aha, co ja miałam powiedzieć ważnego? I żeby już do przodu przejść.

Julia Krajewska: Nie musi się pani spieszyć. Jak pani odpowiada, może pani mówić, jest dobrze.

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Tak?

Julia Krajewska: Tak.

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Zaraz, zaraz. A, wróciliśmy... No więc... Ja maturę musiałam zrobić przede wszystkim, skończyłam maturę i chciałam się dostać na studia. No więc zdałam egzamin, owszem, patrzę na listę, jestem na liście, ale że zdałam, ale do przyjęcia nie, nie ma miejsca. No strasznie się rozczarowałam. Jak sobie przypomiinałam, jak ja te laleczki uczyłam... Tak strasznie chciałam pracować w szkole. No i wróciłam do domu, i sobie myślę, co mam teraz zrobić? I tak mnie coś tknęło, że jeszcze przecież mogę za rok spróbować. I tak zrobiłam. Nie odebrałam papierów, poszłam i też egzamin, wszystko i to samo. To samo dosłownie. Ale mało tego... A to było już chyba po tym. Poszłam odbierać papiery już wtedy, a już byłam załamana zupełnie. I ta pani na Uniwersytecie, tak jak dziś ją pamiętam, jak siedziała, mówi: „Proszę pani, niech pani idzie. Ćwiczenia są na Smulikowskiego, w domu nauczyciela, wykłady są tam, gdzie... Niech pani chodzi, a ja zobaczę, bo czasem bywa tak, że ktoś na kilka się chce dostać i później może zrobić się miejsce”. No i nie oddała mi tych papierów. I ja na Boże Narodzenie dostałam już papiery gotowe, że wszystko w porządku. A już miałam cały... Aż pokażę pani, jak to się kiedyś uczyło. To się na lekcji, na wykładzie, to ja miałam u profesora Suchodolskiego, u... O, takie notatki [się] robiło, na tych kartkach, takim maczkiem dosłownie. To ja miałam ze wszystkich... O! I tak się poważnie traktowało wszystko. Nie chcę też... Dam pani może... A, i logika, był profesor Kotarbiński. To jest też cudowny człowiek. I ja też się pochwalę. Egzamin u niego zdawałam też, takie poboczne egzamin, u Suchodolskiego też, ale u Kotarbińskiego ja... U niego dostałam bardzo dobry z oceny. To mnie przychodzili do domu oglądać koledzy i inni, bo u niego czwórka to była fantazja. Ja nie wiem, a mnie coś tak to płynęło wszystko logicznie. I ja potem kiedyś jadę tramwajem... nie tramwajem, trolejbusem, i patrzę, stoi Kotarbiński. Więc tak pomaleńku się jeszcze cofam, że już wyjdzie, a on zauważył mnie. I cofnął się, i mówi: „Proszę”. Ja mówię: „Panie profesorze...”. A mówi: „Ja pamiętam takich studentów”. To też taką rzecz pamiętam. Niech pani tego już nie mieści, bo to będzie wyglądało, że ja się chwale. Nie. Ale naprawdę, ja nie mogłam zapomnieć zupełnie. Tak że skończyłam te studia.

Julia Krajewska: W którym roku pani skończyła?

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Słucham?

Julia Krajewska: W którym roku pani skończyła studia?

Elżbieta Dąbrówka-Madej: O Jezu, musiałabym zobaczyć, ja nie pamiętam. Dobrze, to proszę kontynuować. Potem znajduję. I przyszłam do domu, dostałam wezwanie do UB, tam gdzie misie są [przed dwarszawskim ZOO], tam jest ten gmach taki, [Urzędu] Bezpieczeństwa”. – Na Pradze.

Julia Krajewska: Cyryla i Metodego?

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Słucham?

Julia Krajewska: Na ulicy Cyryla i Metodego?

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Tak. O, tak, tak, tak, ja tak to pamiętam. Na ulicy Cyryla i Metodego. I bardzo niegrzeczny był, taki nieprzyjemny, ten... „Tam siść”, o, to pamiętam. Nie pozwalają blisko siebie usiąść, nie. A ja normalnie szłam, jak wezwali. „Tam siść”. Taki nieprzyjemny był strasznie. On mnie tam trzymał chyba, nie wiem, dwie godziny, może dłużej. Dla mnie to była wieczność. I cały czas... Nie byłam pewna, co on zrobi, czy on mnie puści czy nie. A w domu maleńkie dziecko. No więc... Coś okropnego. Nie, to jeszcze nie było dziecka, nie było jeszcze. Bo to było niedługo po tym. „Proszę sobie wybić z głowy państwową uczelnię i państwową pracę”. Puścili mnie, nie zatrzymali jednak. Nie zatrzymali. No i ja wróciłam już. Ale wiem, o co chodziło. Bo ja też tam przy mamie się plątałam trochę, też pomagałam jej, co mogłam. No i byłam, chodziłam na te zebrania wszystkie. Ale ja żadnej działalności nie miałam, jakiejś takiej ważnej, mądrej. Bo ja ciągle też te studia. I jak się dostałam, no to skończyłam. I poszłam do pracy. I też jeszcze tak szczęśliwie poszłam do prezydium tutaj, dostać, że jestem przyjęta tam. Na ulicy Twardej taka szkoła była, nowa, wybudowali. Ja chodziłam patrzeć, czy oni do września zdążą zbudować, żeby ja już mogła do tej pracy iść. A potem jak poszłam do pracy, to bardzo była solidna dyrektor. Tak uczciwy człowiek, przyjemny, bardzo mądry. Już mam wszystko naładowane w głowie, no to już jest chyba z wiekiem.

Julia Krajewska: Może teraz pani opowie trochę właśnie o pracy? Jak pani pracowała w szkole, ile to trwało?

Elżbieta Dąbrówka-Madej: Więc tak, dopracowałam dwadzieścia lat w tej szkole. No potem mąż troszkę był chory, to już zrezygnowałam, dostałam złoty krzyż, no przychodzili do mnie studenci. Do żadnej klasy tyle nie było, co się pchali do jednej, do tych maluchów. No i kiedyś mówię: „Pamiętajcie, że nic o odbudowie, czy już będziecie...”. „Tak, tak”. A takie mądrale... Kochana, mój wnusio, najstarszy, zachorował. Syn się ożenił, ale to było bardzo nieudane i to dziecko było tak chore, i ja siedziałam w klasie, i na pierwszej ławce siedziała taka dziewczynka, Ania, i widzi, że mi łzy się leją, bo ja ciągle myślę, co ja mam zrobić. A ona nic nie mówiła. Przyjeżdżam do domu, mam telefon i jej mama dzwoni do mnie. Mówi: „Proszę pani, córka mi mówiła, że pani płakała w szkole. Co się stało?”. A ja mówię, wnusio jest taki chory bardzo, nie wiem, co mam zrobić. A on miał parę tygodni. „Niech pani natychmiast pakuje się i przyjeżdża. Ja jestem jak raz w tej chwili w pracy”. I do tego szpitala na Pradze, taki dziecięcy jest, żeśmy go z mężem zawieźli. On tam był chyba ze dwa miesiące, ale uratowali go. No więc takie to dzieci były. Takie były te dzieci. I ona powiedziała mamie, a mama od razu... Mówię, że nie wiem, jak może być, czy z rodzicami, czy z dziećmi, żeby coś było. No nie wiem. Raz taki chłopiec mi się też strasznie... Jak wróciłam... bo ja byłam też na operacji gardła, tarczycy, to jak wróciłam, a pokażę pani te listy od nich do szpitala. To jak... Zaraz, zaraz, ja... O, widzi pani, to już i ze mną tak jest, kochana... – Co ja chciałam powiedzieć? – O chłopcu pani mówiła. Aha, tak. I szalał, wariował. Kiedyś przyszedł w takich... Tam była hala, ta matka pracowała w tej hali gdzieś. I on się ubierał, i zapominał, które majtki, i założył matki majtki takie. Ale zachowywał się strasznie. Przeszkadzał. Ja nie wytrzymałam. I ponieważ, nie wiem... A ja byłam też po operacji wtedy. I ja otworzyłam drzwi, a tam nie zwróciłam uwagi na to, że były schody zagrodzone, ale ja go wypchnęłam z klasy, bo ja powiedziałam: „Wyjdź!”, to on zaczął się śmiać. I ja go wypchnęłam. Ja się tak zdenerwowałam, bo on się o te schody zatrzymał, o tę poręcz. Przecież co ja mogłam zrobić z dzieciaka? No nie wiem. Ja się tak zdenerwowałam, że ja powiedziałam, przestaję pracować. I przyjechałam do domu. To dyrektorka

przyjechała tutaj, do Piastowa, tam mieszkaliśmy jeszcze, i tłumaczyła mi, żebym ja sobie posiedziała tydzień w domu, uspokoiła się, ale mowy nie ma, żebym ja przestała pracować. No i, proszę pani, rzeczywiście, za jakiś czas ja wracam do szkoły, idę od dworca tą Emilią Plater, do szkoły, akurat na wprost się wchodzi, a tam taki wielki, wysoki dom. Budowali, ale to jeszcze cegła stała wtedy. I zza tej cegły ktoś wyłazi. Patrzę, a on ma jakieś takie trochę powiędłe kwiaty, nie wiem skąd wziął, czy z domu czy skądś, i przyszedł do mnie, ten, co ja go tak wypchnęłam. No mówię, jak można oceniać, no. Idealnie czwórkę miał, ja tam historię, bo zawsze jedna lekcja jeszcze gdzieś indziej była, oprócz wychowawstwa. Tak, no więc tak się pracowało, mnie się bardzo dobrze. Po tych dwudziestu latach odeszłam, bo tak mąż chorował trochę i, nie wiem, jakoś się już to ułożyło, że zrezygnowałam. No to tu mnie zaprosili, w Piastowie. I tu, w Piastowie, pracowałam kilka lat. Ale też mam taki jeden wiersz, też przeczytam to. A na odchodnym dostałam, też mam dokumenty, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, jako... Trzy osoby w Piastowie dostały wtedy. I ze szkoły ja jedna. A tu szkół jest ile. Ale też były dzieci kłopotliwe i trudne były, ale ja nie wiem, ja jakoś nawet bardzo dobrze wspominam, bardzo szkołę wspominam dobrze. Tutaj jeszcze taka szkoła też nowa. To prosili mnie, żebym przyszła. Przychodziłam tam do tych dzieci. Teraz już, w tym roku, nie poszłam, bo bałam się, że się coś może nie powiem czy jak. No tak, to tyle byłoby o szkołach.